



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.

Treść.—Marynia, (z drzeworytem).—Spoczynek, (wierszyk), przez Syrokomlę.—Podziemne mieszkanie kreta, (z drzeworytem).—Gawędy podsłuchane u wiślanej fali, przez M—a.—Wzór do rysunku, (drzeworyt).—Medalik z roku 1768. Powieść przez Z. Morawską, (dalszy ciąg).—Młoda bohaterka, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszo nych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dokończenie).—Łamigłówni.—Rozwiązania.



Marynia.



## MARYNIA.

— O czém tak myślisz, moje dziecko—zapytała matka, widząc Marynię niezwykle zamysłoną i wpatrzoną w niebo, gwiazdami zasiane.

— Przypominam sobie, mateczko, co wczoraj czytałam o tych gwiazdach, że one są tak daleko, tak niezmiernie daleko. A jednak moja myśl w jednej chwili tę straszliwą odległość przebiega. Oczyma widzę tylko błyszczące kropeczki na błękicie, ale wiem dobrze, że to są światy większe od naszej ziemi. Dziś znów czytałam historią starożytnego Egiptu i wiem, co się tam działo przed kilku tysiącami lat, tak zupełnie, jak gdybym myślą przeniosła się w tę oddaloną przeszłość. Czasem umyślnie zamykam oczy i wtenczas daleko lepiej jeszcze wyobrażam sobie różne oddalone kraje, gdzie nigdy w życiu nie byłam i dawne czasy, które znam tylko z opisów.

— Pięknie to bardzo, moje dziecko—mówiła matka—że umiesz się zastanawiać nad takimi poważnemi rzeczami. Teraz pojmujesz już sama, dla czego mówimy, że człowiek myśla, wyobraźnią panuje nad przestrzenią i czasem. Bóg, tworząc go na obraz i podobieństwo swoje, obdarzył go tą władzą cudowną, dając mu duszę niesmiertelną, która nawet w tém życiu doczesném nie może poprzestać na krótkiej chwilce swojego istnienia, ani na tej ciasnej przestrzeni, w której przebywa ciało, ale wyrывa się w nieskończoność.

## SPOCZYNEK.

Patrz na źródło wody świeżej:  
To się w wązki strumień ściska,  
Pnie się w górę, z góry tryska,  
I śpieniony dalej bieży.

Wirem kręci się, to wzdyma,  
To się kamień podni, i sili:

Czysty potok nigdy nie ma  
Odpoczynku ani chwili.

Patrz, w spoczynku woda zgnila,  
Jak zabójczą parę zionie  
Pleśń zielona ją pokryła,  
A robactwo karmi w łonie.

Myśli ludzka! twa otucha:  
Naprzód, naprzód płynąć wiecznie!  
Świętém życiem wrzec koniecznie,  
Bo spoczynek—to śmierć ducha.

Bo gdy praca cię unuży,  
Już zgnilizna brzydka wpadnie,  
Już robactwo cię owładnie,  
Usniesz—nakształt wód w kałuży.  
*Syrokomla.*

## Podziemne mieszkanie kreta.

Niezbyt dawno wyobrażano sobie najnieśluszniej, że kret jest ślepy i że się żywi korzonkami roślin, które pod ziemią podgryza. Dziś już nikt w te bajki nie wierzy. Kret ma oczki malutkie, tak głęboko osadzone i sierścią przysłonięte, że ich dojrzeć trudno. Bardzo mu z tém wygodnie, bo się nie łatwo zasypują ziemią i piaskiem, a przebywając ciągle w ciemnościach podziemnych, zwierzątko nie wiele potrzebuje widzieć. Co do sposobu życia, przekonano się, że kret nigdy żadnych roślin nie jada, ale ma drapieżne i krwiożercze usposobienie, pożera wszystkie słabsze istoty żyjące, jakie tylko pochwycić może i nawet podobne sobie krety, z którymi często walki zabójcze toczy, a zawsze zwycięzca zjada zwyciężonego.

Naturaliści utrzymują, że małe to stworzenie jest odważne, jak lew, okrutne, jak tygrys, a żarłocstwem przewyższa wszystkie zwierzęta. Poluje zawzięcie przez cały rok, latem i zimą, a ponieważ ma węch wysmienity, zawsze umie wynaleźć schronienia różnych żyjących istot. Zjada owady, robaki, myszy, żaby, węże, tylko jedną ropuchą się brzydzi i nigdy jej nie dotyka. Ale i on nie-

borak ma wielu nieprzyjaciół, większe i silniejsze zwierzęta, drapieżne ptaki, łasice, tchórze, lisy, czatują na niego i często w podziemnej kryjówce wypatrzeć go umieją, chociaż kret z nadzwyczajną zwinnością ucieka. Rysunek nasz przedstawia mieszkanie kreta, zazwyczaj bardzo przemyślnie ukryte w krzakach, bo nie sądzicie, ażeby te kupki ziemi, które często widzieć można na łąkach lub w ogrodach, zawierały w sobie schronienie zwierzątka. Kret, szukając pożywienia, wygrzebuje pod ziemią coraz nowe korytarze, idące w rozmaitych kierunkach, a ziemię usuwa w górę, zkad właśnie owe kupki powstają; liczne te przejścia ułatwiają mu także ucieczkę w chwili niebezpieczeństwa. Do właściwego mieszkania powraca on tylko parę razy dziennie na odpoczynek; nawet gniazdo, w którym samica małe swoje hoduje, urządzone bywa osobno, zazwyczaj w takim miejscu, gdzie się schodzi i krzyżuje kilka dróg, ażeby łatwiej uciec mogła w razie napaści i wtenczas śpiesznie unosi malców w paszczy i przechowuje.

Przypatrzcie się, jak dowcipnie urządzona jest kryjówka kreta, zupełnie naksztalt obronnej twierdzy. Okrągły otwór środkowy otoczony jest dwiema galeryami, jedną u góry, drugą u dołu, obie połączone są z sobą wążkami korytarzykami, ale do środka tylko z wyższej dostać się można. To, co na rysunku wygląda, jak wielkie otwory, przytępka właściwie do ziemi i stanowi ścianę. Widzicie, jak kret z dolnej galeryi przesuwają się na wyższą.

Dawniej wytypiano niemilosiernie krety na łąkach w tém mniemaniu, że one niszczą korzenie roślin; tymczasem zwierzątka te są nawet pożyteczne dla rolników, gdyż pożerają mnóstwo drobnych stworzeń, które rzeczywiście szkody wyrządzają. Trudno jednak zaprzeczyć, że krety po ogrodach bardzo są nieprzyjemne i szkodliwe, bo chociaż korzeni nie zjadają, jednak poruszają je swoim grzebaniem i psują grzędy. Można też wybaczyć ogrodnikom, jeśli im zawsze zawziętą wojnę wypowiadają.

Małe to zwierzątko ma postać bardzo odrębną; główka gładka, bez wystających uszek, zakończona jest długim ryjkiem, łapy

wielkie, dłoniaste, mają ogromne, silne pazury; czarne futerko kreta wygląda jakby aksamitne i odznacza się pięknym, metalicznym połyskiem. W południowej Europie żyje kret nieco odmienny, przewany ślepym, gdyż oczki ma przysłonięte skórą, przezroczystą w tém miejscu. Amerykański kret ma ryjek zabawnego kształtu, który się marszczy i ściąga w taki sposób, że przy końcu wygląda, jak gwiazdka. Na przykładu Dobrą Nadzieję mieszkają krety złociste, tak przewane, gdyż w rzeczy samej sierść ich ma blask złoty.

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M...a.

### IX.

#### Marzanna.

Prawie w tém samym miejscu, w którym znajdują się dzisiaj drzwi wielkiej kościoła Sw. Piotra i Pawła w Krakowie, stało niegdyś niskie i niezbyt duże domostwo. Owo *niegdyś* odnosi się do czasu bardzo dawnego, bo poprzedzającego blisko na dziewięć wieków chwilę obecną. Było to w roku 990. Że zaś historia podaje rok 965 jako rok przyjęcia wiary chrześcijańskiej przez Polaków, a rok 992 jako rok śmierci Mieczysława I, przeto rok 995 był trzecim panowania Bolesława Chrobrego, a trzydziestym od czasu zapanowania chrześcijańskiej wiary nad Wisłą. Noc roztoczyła już od kilku godzin ciemne skrzydła swoje nad miastem ludném, ale drewnianem jeszcze po większej części i ścieśnioném, dla ułatwienia obrony po za ochronnymi wałami. Zamek nawet wawelski nie był jeszcze także we wszystkich swych częściach murowanym, chociaż grube opasujące go mury obronne już istniały. Świeży, bo już wiosenny, ale i żołądki jeszcze wiatr, wicher raczej z przeziębliwym gwizdem zawiewał na miasto od Wisły, podrywając resztki



słomianej strzechy ponad domostwem na dzisiejszej Grodzkiej ulicy, w miejscu dzisiejszych wielkich drzwi w kościele Św. Piotra i Pawła. Domostwo to miało już pozór dzisiejszego wiejskiego małego dworku, tylko ze względu na oszczędzanie miejsca, bo im ludniejsze było miasto, tem bardziej się skupiało. Nie miał też ów dworek szyb w okienkach, ale grube okiennice na zawiasach z mocnego łyka. Za to wstęp do dworku był już z takim samym ganeczkiem, jaki dzisiaj się jeszcze widuje. Lecz połowa tego dworku nadawała się szczególnie do huków i gwizdów wichru tej nocy, bo na wskroś była zniszczoną, jakby zburzoną nawet; porozdzieraną strzechą i powyłamywanymi ścianami wiatr wpadał i wypadał swobodnie. Druga tylko połowa wyglądała zamieszkałą, bo szczególnie zewsząd była zaopatrzona i zamkniętą tak, że ani jeden promyczek światła z niej nie błyskał, a przecież ciemniejszy od nocy dym z łuczywa wydobywał się z otworu, oblepionego gliną na strzesze w kształcie komina. Ten komin zaś wskazywał, że zrujnowany dom nie do lada kogo należał, gdyż nie każdy zdobywał się jeszcze naówczas na taką staranną wygodę w budowaniu swego domostwa. Po wsiach i dzisiaj jeszcze gdzieśniedzie spotkać można chatę kurną, to jest bez komina, w której musisz usiąść na ziemi, jeżeli nie chcesz, aby wygrzyzał ci oczy dym, zapewniający wyższe jej sfery. Ten dym, wskazujący bytność ludzi w tej pustce z pozorów, bo zburzona część chaty bliższą była drogi, zajął uwagę człowieka jakiegoś, który owej ciemnej nocy zbliżał się tą drogą od lasów do Krakowa. Szedł on, jakby się nie spieszył, albo jakby był zmęczony, a przytém unikał miejsc zupełnie odkrytych, przesuwając się raczej pod zabudowaniami, nie pragnąc niby ściągać oczu na siebie, przy jakimś przypadkowym spotkaniu. A jednak szedł niedbale i spokojnie, jakby się o nic nie troskał, lub czuł się pod czyjąś opieką. Na półgodziny wprzód wchodził on w bramę miejską zamkniętą, przy której od zmierzchu stała straż, wedle nowego króla Bolesława pomysłu. Ów wędrowiec zażądał się widzieć ze strażą tej dowódcą, a gdy ten nadszedł, pokazał mu wędrowiec pierścień jakiś

żelazny. Ujrawszy pierścień, kazał dowódzca wpuścić owego przybysza do miasta. Wpuszczono go tedy, otworzywszy furtę ciężką a małą, umyślnie na takie sprawy sporządzoną, z nowych królewskich rozporządzeń, jak wszystkie nieledwie obronne i wojenne, a i gospodarskie porządki. Ostrożności te wojenne zaprowadzone były po przeszloroczném podchwyceniu Krakowa przez Czechów, podmówionych przez Władysława, brata Bolesławowego, gdy Bolesław na Rusinów pójść musiał. Dostawszy się do miasta za pomocą owego pierścienia, wędrowiec żądał jeszcze od dowódcy straży, aby go wprost do króla Bolesława prowadzić kazał, ale wtedy powiedziano mu, że króla w Krakowie nie było w tej porze. Ta wiadomość mocno zaniepokoiła obcego człowieka.

— Jakto?—rzekł—wszakże król Bolesław I, po powrocie z Rusi i zgromieniu a wygnaniu ztąd Czechów, nie poszedł przecież sam osobiście na pomoc Ottonowi III, tylko posiłki mu posłał, a inną wojny nie ma w tej chwili o ile wiem, więc gdzież jest król?

A na to odpowiedział dowódzca:

— Dobrze wy świadomi spraw naszych zewnątrz kraju, choć obcy jesteście, jak i mowa wasza, acz bardzo podobna, wskazuje; ale nie wiecie, co się wewnątrz kraju dzieje. Oto król nasz, aby tylko miał wolny czas od wojny, zaraz ze swemi dwunastą radniami, których do boku sobie wziął, objeżdża zamki wszystkie w całym kraju, oglądając obronność ich, którą dopiero co zaprowadził, albo budując i obronnemi czyniąc nowe. Gdzie zaś przytém ktokolwiek przez drugiego skrzywdzony poskarży się królowi, to ten mu zaraz wymierza sprawiedliwość. Otóż i teraz jest król nasz na takim objeździe.

Pokiwał na te słowa głową wędrowiec smutno jakoś, jakby mu te wiadomości bardzo nie po myśli były. Tedy dowódzca, widząc kłopot jego, rzekł znowu:

— Ale z dnia na dzień oczekujemy powrotu króla Bolesława, więc poczekać wam trzeba. Jeżeli chcecie, każę was natychmiast zaprowadzić do wójta, który miejskich spraw pilnuje, a on da wam pomieszczenie przy-

stojne na czas, bo pierścień ten wasz, od samego króla naszego zapewne wam dany, każe nam sługom królewskiemu dawać jego okazielowi wszelką pomoc i w niebezpieczeństwie obronę. Powiedźcie więc, czyli mam was do wójta prowadzić?

— Wójta nie znam—rzekł obcy po namyśle—a chyba w mieście waszém niema znów ani dzikich zwierząt, ani przepaści żadnych, żeby już spokojny podróżnik nie miał w niem być bezpiecznym; to pozwólcież mi iść samemu poszukać w niem sobie schronienia na czas, do przybycia królewskiego. Bo i na rękę mi też będzie samopas tak poznać ludzi i miasto.

— Niech będzie wola wasza—rzekł dowódzca—choć gdyby nie pierścień, jużbym właśnie za te słowa wasze zatrzymać was powinien. Ale rozum mój mówi mi, że gdybyście wy byli skryty wysłaniec od Czechów albo Niemców, albo Rusi, ku podstępniemu podpatrywaniu naszych spraw, tobyście właśnie nie powiedzieli tych słów ostatnich.

Wędrowiec spojrział na dowódcę takimi jasnymi a zdziwionymi oczyma na to wyrzeczenie, że tanien aż się rozśmiał w głos i powiedział znowu:

— Oj, nie szkodliwy wy człowiek, nie, a raczej zażyty szczery, jak dziecko. I dla tego powiem wam, że idąc samopas w miasto, lepiejby wam takim nie być. Bo od trzydziestu lat stare pogaństwo i nowa wiara wojują niby i tu i w całym kraju ze sobą; więc przystępując do człowieka, nie wiesz nigdy, czy on w swęj duszy staręj jest wiary, czy nowęj? Tedy ostrożnym nawzajem być trzeba, aby nie okazać też zaraz każdemu nieznanemu, czém się także we własnej duszy jest! Gdyż jeżeli na nowowiercę chrześcijańskiego trafisz, to nic, jedno będzie ciebie chciał na swoją wiare nakłaniać. Ale jeżeli na staręj wiary wyznawcę, to przyjaciele w nim nie znajdziesz, jeżeliś ty sam nie jego wiary, bo pogaństwo kryją się i chronią od chrześcijan i nie lubią ich za to, żeby im chrześcijanie w obrzędach nie przeszkadzali i nie rozbijali a nie rozrzucali ich bożków i świątyń.

— No, ależ życia chyba nikt u was niko-

mu w téj wojnie o wiare nie odbiera?—zapytał obcy z uśmiechem.

A na to dowódzca:

— Ej, co znowu! przecież nowi nie mają tego w zwyczaju swęj wiary. A zaś i starzy, tu nad Wisłą tą naszą przynajmniej, też nigdy, przenigdy w obyczajach srogości żadnej nie mieli i nie mają. Tam dalej, na Pomorzu, i tam na Lutykach, gdzieindziej, to podobno tak i jest, iż starzy nowych mordują, ale nie tu!

Dowódzca mówił nieledwie z urazą jakąś, a wędrowiec znów patrzył mu w oczy z uśmiechem, jakby coś zabawnego miał na myśli; aż popatrzywszy tak, zapytał znowu:

— Myślę ja nad tém, jakeście wy to mądrze wszystko powiedzieli, mówiąc o tych starych i o tych nowych, a to tak, że ja ani raz nie wiem, którzy lepsi są w oczach waszych, ani jakim wy sami w duszy waszój jesteście?

Dowódzca bystro spojrział nawzajem w oczy mówiącemu, a ujrzawszy w nich myśl wesołą, rozśmiał się, pytając:

— A wy, jakim jesteście?

— Ale ba! poczekajcie, nim wam powiem teraz, skorocście mię ostrożności nauczyli—wesoło odparł wędrowiec.

— Otóż ja wam powiem: jestem wiernym sługą króla Bolesława! — powiedział dowódzca.

— To i ja wam powiem: jestem prawym przyjacielem króla Bolesława! dowodem ten pierścień! — powiedział obcy.

— To wypijcież ze mną pierwszy kubek miodu w Krakowie—zawołał pierwszy ochoczo.

— I chętnie, bom zdrożony — przystał drugi.

I wychyliwszy po ogromnym drewnianym, grubo wyrobionym kubku miodu złotego za zdrowie i pomyślność króla Bolesława, zostali się nowi serdeczni przyjaciele, choć dowódzca chciał już i u siebie na noc gościa zatrzymać. Ale gościowi nie była noc niemiłą ani samotność w obcém mieście. Odszedł więc z izby strażniczej, szepcąc sam do siebie z uśmiechem:

— Pogani starzy! ale człowiek dobry mu-



si być i wierny, kiedy ma bramę w swęj mocy. Wie król Bolesław, co robi.

A tymczasem dowódzca straży mruczał też do siebie, patrząc za odchodzącym:

— Ej ej! czy aby nie jakiś ksiądz, a wiary tój ich rozprowadzić; bo ilu ich widziałem, każdy sobie tak śmiało w świat i w noc i w dzień lał z weselem w oczach, jak ten, i rozpatrywać się między ludźmi chciał i do duszy mi chciał zaglądać. A ten i pierścień królewski ma! Oj, z kąd też Mieszkowi wzięło się, ażeby mojemu Bolkowi Chrobremu, którego na rękach tych wypiaśtowałem, nakazać nowe te wierzenia a obrzędy? Przecież miód stary lepszy, i drzewo wyschłe lepsze, i przyjaciel doświadczony lepszy! to i wiara stara a dawna musi też lepszą być. A no, to i dla tego też muszę dalej królowi Bolkowi wiernie służyć, choć ugrzązł w te nowości, bom ja mu stary przyjaciel!

Poszedł wędrowiec w głąb miasta i natrafił na dom ów w pół zburzony, a ujrawszy po dymie, że ludzie w nim czuwają jeszcze, wejść chciał. Lecz drzwi zaparte były. Dopiero na mowę jego, iż jest wędrowcem strudżonym, pragnącym spoczynku, odsunięto zaporę. Dwie niewiasty były w izbie, stara i młoda. Ogień buchał jasno na szerokim, z kamieni ułożonem starannie ognisku. Parę snopów słomy leżało porzuconych na izbie i pęk łyka przygotowanego do wiązania. Kilka sztuk odzienia bielilo się koło nich na ławie, a dwie żerdzie, jedna długa, druga krótsza, położone na słomie, zabierała właśnie śpiesznie młoda niewiasta, jakby chcąc je ukryć. Obie niewiasty zdawały się mocno zakłopotane, otwierając obcemu, któremu gościnność kazała rozтворzyć. Ale on, przestępując próg, okiem zaledwo rzuciwszy na przybory wśród izby, zawołał:

— O! Marzanna się widzę stroi na utopienie! <sup>1)</sup>—On te słowa jakby mimowoli wykrzyknął ze smutku, na przykry widok niespodziany. Ale wykrzyknik jego podzielał na dwie kobiety nieledwie tak, jak pierścień królewski na dowódcę straży. Niechęć i zakłopotanie znikło odrazu z twarzy dwóch

kobiet, które omyliwszy się na znaczeniu jego słów, wzięły go za swego współwyznawcę.

— To wy nasz!—rzekła stara—to i dobrze. Gość w dom, to i Biały bóg z nim wchodzi w dom, a Czarny odchodzi, jeżeli był. <sup>1)</sup> Siadajcie przy ognisku. Oto chleb, oto miód, jest i mięsiwo. Z którejże tam strony Poświst was niesie? <sup>2)</sup>

Wędrowiec zakłopotał się teraz z kolei, zrozumawszy, że na skutek pomyłki tylko przyjmowano go z tak serdeczną gościnnością, ale pomyślawszy, że nie miał zamiaru zwieść ludzi owemi mimowoli powiedzianemi wyrazami, przyjął gościnność i jadł chleb ze smakiem, a odpowiadał jak mógł:

— Idę od zachodu i zdaleka—rzekł—zmęczony jestem, że ledwo nogami powłóczę.

— Znajdzie się i dla was pęk świeżej słomy, tylko zjedzcie a posilcie się. Zapewniła stara uprzejmie, a młoda dodała:

— My tymczasem z Marzanną skończymy, żeby gotowa była na świt. I obie kobiety, przy drzwiach starannie zapartych, zabrały się żywo do roboty. Związały najprzód dwie żerdzie, jak gdyby w krzyż.

— Czy wy wiecie, że tak jakeście związały te drewna, zrobił się z nich znak nowój wiary?—zapytał podróżny. One spojrzały zdziwione na niego i na swoją robotę. Patrzyły, aż młoda krzyknęła:

— Matusiu! albo nie taki to błyszczy się na Wawelu? na naszój Pośwista świątnicy, co ją jeszcze król Mieszko zburzył i nową jakąś na niej zbudował? Nie takież to na tój nowój błyszczy znak?

— Taki!...—szepnęła stara poganka z niewymownym przestrachem, odstupując od swojej roboty.

— Jak wam to przyszło do myśli? kiedy ja tyle lat stroję Marzannę i na tamte znaki patrzeć muszę, a nigdy nie widziałam tego?—spytała nagle po chwili. A on rzekł zafrasowany znowu:

— Czy ja wiem, ot tak... ale przeszkodzi-

<sup>1)</sup> Czarny bóg, bóg gniewny, zły. Biały bóg, bóg łaskawy, dobry duch.

<sup>1)</sup> Marzanny topienie, Marzanna bogini śmierci. Obchód wiosenny, w Niedzielę Białą dzisiejszą.

<sup>2)</sup> Poświst, bóg wichrów. Świstum, Poświstum, żyją do dzisiaj w ustach pospólstwa krakowskiego.

łem wam, a podobno miałyście skończyć robotę na świt?...—dodał żywo, aby odwrócić ich uwagę.

— Tak!—zawołała stara, chwytając gwałtownie za swą robotę—musimy skończyć na świt, bo o samym świetle zbiegniemy się wszyscy na sam rynek, gdzie z boku stoi jeszcze spore jeziorko po ostatnim deszczu. Utopimy ją tam i rozbiegniemy się na wszystkie strony, nim miejskie te tam nowe, czy wójtowskie, czy królewskie sługi, zdążą nam wzbronić starego zwyczaju. Ho, ho! mało już takich chat, jak moja, ale póki moja stoi i ja w niej dyszę, póty nie zabraknie temu miastu ani jednego starego zwyczaju, ani ludu na obchody; bo lud mię zna! bom ja wdowa po ostatnim Pochwista słudze! tam przy téj zburzonej świątyni na Wawelu, gdzie teraz ten jakiś błyszczący znak! O! kto wie! może ja doczekam jeszcze, że się i król Bolko nasz na dawne drogi nawróci!

I żywo, z uniesieniem wymawiając te słowa, wdowa i sierota po ostatnim pogańskim kapłanie w Krakowie, nakładała słomę na związane w krzyż żerdzie, obwiązując je łykiem po wierchu. Utworzyły w ten sposób wielkiego bałwana słomianego z dużą głową i rozciągniętymi rękami. Następnie odziały go w całkowite ubranie niewieście, to jest spódnice, koszulę, switę i chustę na głowie, i dopiero same spoczęły, zgasiwszy ogień i ogarnawszy zarzewie. Gość dawno spał na podanym mu sнопie świeżej słomy. O świetle zbudził go tłumiony szmer, kilkanaścioro ludzi napełniało izbę. Wychodzono, niosąc bałwana za koniec żerdzi wysoko, jak jaką wielką chorągiew; w zwiększonym i przedłużonym umyślnie odzieniu białem i czarnem, z żółtym ogromnym kuleni słomy za twarz, w białej chustce na głowie, wyglądał on z rozciągniętymi rękami okropnie! Miało to przedstawiać śmierć i naprawdę przypominało śmierć, wyciągając ręce po świat cały. Gość wstał i poszedł za ludźmi, niosącymi bałwana. Szli cicho przez dzisiejszą Grodzką ulicę, która i wówczas nazywała się tak samo, chociaż odmienną miała powierzchowność, gdyż była ulicą główną, czego dowodzi jej nazwa: Grodzka, czyli Miejska. Szli cicho ku rynkowi, o brzasku marcowego dnia tego, który

dziś nazywa się Niedzielą Białą. Doszedłszy do rynku, ujrzeni niedaleko przed sobą trochę z boku owo jeziorko, do którego zmierzali, a naokoło rynku, na wszystkich wychodzących nań ulicach, gromadki ludu, resztki wyznawców starej wiary. Ukazanie się wysokiego bałwana musiało być z góry umówionym znakiem, bo odrazu w ciszy świtańia ze wszystkich stron zająkła jednozgodnie żałobliwa pieśń: „Śmierć wije się po płotu, szukająca kłopotu.“ W jednej chwili wszyscy uczestnicy obchodu złączyli się z niosącymi bałwana i dopiero zwolna prowadzili go wszyscy razem ku jeziorku owemu, śpiewając ciągle żałobliwie a rozgłosnie. Doszedłszy do wody, stanęli i zabrali się odzienie z bałwana zdejmować. Zdjąwszy, ciągle śpiewając, wrzucili go w wodę, topiąc w nim zapewne zimową pozorną śmierć natury, w chwili powstającego nowego wiosennego życia. To ukończywszy, na dany znak śpiew ustał i wszyscy wraz rzucili się do ucieczki, rozbiegając na wszystkie strony przez rozległy rynek ku ulicom, z których wyszli, bo już dawno ze wszystkich drzwi i okienek naokoło wyglądali ludzie i tylko co patrzeć było sług wójtowskich, gdy w tém silny, brzącający głos ozwał się za uciekającymi:

— Stać! nie skończono jeszcze! — To wczorajszy gość z chaty, w której Marzannę ubierano, poskoczył ku słomianemu bałwanowi, jak tylko wszystkie oczy odwróciły się odeń, przeciął ostrym nożem łyka przytrzymujące słomę na żerdziach, a potem powstawszy, zawołał jak wyżej za uciekającym ludem. W rozkazie jego musiała być owa tajemnicza siła, wywołująca posłuszeństwo, jaką muszą posiadać wodzowie zwyciężający na placu boju, bo lud stanął, jak jeden człowiek, zwracając się ku niemu. Ale w téjże chwili okrzyk przestrachu wydarł się ze wszystkich piersi, bo uciekając po utopieniu Marzanny nie należało się zatrzymywać, a tém mniej zawracać, z obawy nieszczęścia w bieżącym roku. Ktoby zaś uciekając upadł, ten już z pewnością przyszłego obchodu nie doczekał. A oto w téj chwili na rozkaz czyjś blisko do tysiąca ludu zapomniawszy się stanęło i zawróciło, narażając się na pewne nie-



szczęście. Więc też spojrzawszy na się wzajem i przypomniawszy sobie co czynią... musieli krzyknąć ludziska z przerażenia. Ale po okrzyku tym nastąpiła cisza, a w ciszy tej rozległ się znowu tenże sam brzęczący głos, nakazujący posłuszeństwo. Co on mówił, tego nikt nie spisał, bo nikt ze słuchaczy pisać nie umiał. Ale musiał mówić tak, że serca ich ku sobie pociągnął, skoro jeden i drugi z uciekającego przed chwilą orszaku Ma-

słuchaczom, jak udziela się każdy płomień na wietrze; mówił tak, jak *on* tylko mówić umiał: słowem natchnioném. Dobra Nowina (ewangelia), którą przynosił, nie była tu już nowiną *niezasłyszaną*, ale *niepojętą* była dotąd, zwłaszcza dla tych ludzi z orszaku Marzanny. Gość umiał korzystać ze wszystkiego, nawet z obchodu Marzanny. Opowiedział, co mu natchnął duch, mówił o prawdziwym śmieci Zwycięzcy, mówił, że on



Wzór do rysunku.

rzanny odważył się postąpić ku mówiącemu, za tymi poszła reszta, bo lud jest wrażliwy i ruchliwy. W chwil parę otoczono nieznane-go człowieka, ubranego jak wszyscy, ale mówiącego dziwnie i dziwne rzeczy, od których słuchania serca coraz mocniej biły słuchaczom. On opowiadał historią starego i Nowego Testamentu. Pierwszą w krótkich słowach koniecznych, aby na nich oprzeć drugą; a tę drugą w płomiennych miłością słowach, gorejąc uczuciem, udzielającem się

jest prawdą i drogą, i życiem w śmierci samej, chwycił za koniec żerdzi, leżącej mu u stóp i potrząsłszy nią silnie ponad głową tłumu w powietrzu, strząsnął z niej słomę i ukazał ludowi symbol nowej wiary, ukryty bezwiednie w pogańskich nawet marzidłach, a błyszczący na słońcu w owej chwili ponad Wawelem w takim samym kształcie, jak w ręku mówcy.

Mówca wskazał ludowi tamten krzyż i ten. A lud osłupiał z podziwu, jak w podobnej



chwili wczoraj osłupiały kobiety strojące Marzannę. To powstanie znaku żywota chrześcijańskiego z łona śmierci pogańskiej, które mówca umiał zrozumiałem uczynić, zdało się ludowi stokroć cudowniejszém, niż gdyby cudem było.

— Anioł, anioł zeszedł z nieba i prawdziwą prawdę powiada nam! Mów! mów!

Krzyczał lud w uniesieniu, mieszając wy-

Tak krzyknął król, zeskoczywszy z konia i wyciągając ramiona do tego, którego dziś Św. Wojciechem chrześcijański świat nazywa. A ten odpowiedział:

— Ha, cóż, nie wszędzie jednak to gospodarstwo idzie. Idę teraz na Pomorze, ale was, królu, widzieć mi trzeba było.

— Chodźno wprzód spocząć do mnie,



Podziemne mieszkanie kreta.

razy i wyobrażenia pogańskie z chrześcijańskimi. I padał na kolana przed tym, który prawdę mówił i stopy mu całować chciał zdorożone, płacząc z radości.

A w téjże chwili trąby zabrzmiały, ziemia zajękła pod kopytami końskimi i król Bolesław I, na czele swych radnych dwunastu, stanął na rynku.

— Witajcie, Wojciechu! A wy po swojemu już pono do domu moim gospodarujecie? Szcześć Boże!

nim pójdziesz dalej — rzekł król, prowadząc gościa na Wawel, bo wówczas królowie i święci pieszo chodzili po mieście.

Ale lud otoczył ich i prowadził, błogosławiąc obu a wołając, aby Wojciech nie odchodził na Pomorze, ale tu został i nauczał. Więc pomówili ze sobą dwaj przyjaciele i stanawszy powiedzieli ludowi, że Wojciech pozostanie na czas między Krakowianami i codziennie przemawiać do nich będzie. I wchodzili już ci dwaj do zamku, gdy jeszcze ja-

kaś niewiasta za kolana uścisnęła z radości jednego i drugiego.

— Co? i ty go chcesz słuchać?—zawołał król zdziwiony radośnie—ho ho! to już nie będzie mi kto miał bruździć Marzannami a ładami w Krakowie, skoro córa po ostatnim kapłanie Pochwista słucha mojego przyjaciela Wojciecha. Chodź, chodź na zamek przyjacielu, a pogadajno z tym moim starym dowódcą straży. — I wskazał król na starego piastuna swego.

— Ej, z tym to my przyjaciele od wczoraj jeszcze, to się jakoś chyba pogodzimy i dalej— rzekł z uśmiechem Wojciech.— I pozostał Wojciech na czas mały w Krakowie i codzień przemawiał do ludu z tegoż samego miejsca.

Wedle powszechnego mniemania, kościółek Św. Wojciecha, stojący na rynku krakowskim, zbudował król Bolesław natychmiast po zabiciu Św. Wojciecha przez Prusaków. I wybudował go na tém właśnie miejscu, na którym Św. Wojciech przemawiał wówczas do ludu, idąc na Pomorze.

## Medalik z roku 1768.

POWIEŚĆ

przez **Z. MORAWSKĄ.**

(*Dalszy ciąg*).

### II.

#### E g z a m i n.

Na drugi dzień po opisanéj rozmowie, ruch ogromny panował na pensyi p. Nonon Raniutko uprzątnięto największą salę i ustawiono na wzniesieniu kilka foteli dla nauczycieli i nauczycielek, w około ławki dla uczennic, w drugieć zaś połowie krzesła dla publiczności, którą mieli składać po największej części rodzice pensyonarek. Przed estradą stał ogromny stół, a na nim rysunki, kajety, roboty uczennic. Drugi był założony książkami i listami pochwalnemi, które miały uwie-

czyć pracę najpilniejszych i napełnić miłém wspomnieniem młodociane ich serduszka.

W innych pokojach dziewczynki ubierały się w białe sukienki, drżące na samę myśl, że przy tylu osobach będą odpowiadać, a każda po cichu westchnęła: „Ach, żeby też egzamin dobrze poszedł.“

Mniej pilne chodziły smutne, obawiając się, że nie odpowiedzą dobrze na zadawane pytania, i ominię je upragnioną nagrodą lub promocyą. Takich jednak było bardzo niewiele. Szczera bowiem praca zaczęć ochmistrzyni i jej nauczycielek odnosiła pożądane owoce i wywierała dobroczynny wpływ na młodzieńskie umysły. Dwie tylko prześladowczynie Magdusi, Emilia i Alina, nie umiały tego ocenić i dla tego usunęły się przed egzaminem.

Nareszcie wybiła godzina 10. Sala napełniła się publicznością, dzielącą troski, obawy i radości uczennic. Dziewczynki, jak grono aniołków, zajęły miejsce po obu stronach wzniesienia. Otworzono drzwi do domowej kaplicy, rozpoczęła się święta ofiara, młode główki pochyliły się w pokorze i z całą szczerotą ducha popłynęła modlitwa ku niebu. Śliczny to był widok tych dziewczynek, modlących się razem, połączonych jedną myślą przed Bogiem. Modlitwie ich wtórowały westchnienia publiczności, która w téj chwili miała z niemi jedne i te same cele i dążenia; a nie jedna łza matki, nie jedno westchnienie ojca, połączyło się tam u stóp Przedwiecznego z gorącą modlitwą uczennic.

Po skończonej ofierze zamknięto drzwi do kaplicy; uroczysta chwila nadeszła, książd pytaniami z religii rozpoczął egzamin.

Potém szły inne nauki, serduszka biły coraz szybciej, oczy coraz gorętszym świeciły blaskiem, a twarzyczki coraz żywszym pałały rumieńcem. Egzamin powiodł się świetnie, kilka panienek kończących pensyą napisało piękne podziękowanie dla ochmistrzyni, nauczycieli i nauczycielek, oraz pożegnanie dla koleżanek, z którymi się już rozstawały. Magdusia tak to jakoś rzewnie napisała, że przy wyrazach, któremi dziękowała ochmistrzyni za macierzyńską opiekę, rozplakała się serdecznie, a nie jedna łza stanęła w oczach słuchaczy. W końcu p. Nonon



przemówiła do uczennic, żegnając się z niemi na czas wakacyjny, lub kreśląc obraz życia i obowiązków tym, co opuszczały jej zakład.

W końcu przystąpiono do rozdania nagród. Każda dziewczynka uradowana i szczęśliwa wychodziła na środek z rumieńcem na twarzy, z bijącym sercem, drżącą rączką odbierała książkę pięknie oprawną, na której było wydrukowano złotymi literami: „Nagroda“ lub też papier, na którym świeciły wyłoczone litery: „List pochwalny za pilność w naukach.“ A za każdym wymienionem nazwiskiem, w pośród publiczności wzniosła się jedna, albo i więcej głów i słyszano szept: „To moja Marynia, Józia lub Zosia.“ Ukończono nareszcie tak zwany *Akt uroczysty*, zabrzmiały śpiewy dziękczynne wykonane przez uczennice. Zadowolenie świeciło we wszystkich oczach, publiczność zmieszała się z popisującami, i oto już po całej sali rozpięchły się białe sukienki, a wokoło słychać było całusy i uściski. Magdusia i Ludka dostały świadectwa z chwalebnie ukończonych nauk. Ludkę serdecznie ojciec za to uściaskał. Z jedną tylko Magdusią nikt radości nie dzielił.

W godzinę potem salę zaległa zupełna cisza, a z bramy wychodziły uszczęśliwione dziewczynki.

Ludka jednak pozostała jeszcze parę godzin na pensyi, bo p. Lesiński miał dopiero wieczorem po nią przybyć i zaprowadzić do teatru, w którym Ludka była zaledwie dwa razy w życiu, a chcąc żeby radość była zupełna, uprosił p. Nonon, ażeby i Magdusi pójść pozwoliła. Dla Magdusi była to w całym znaczeniu tego wyrazu niespodzianka, nie była ona jeszcze nigdy w teatrze i miała o nim zaledwie wyobrażenie z komedijki, przedstawianej na pensyi. To też, olśniona światłem, nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co ją otaczało, a mimo to nieposiadała się z radości, nie wiedząc czemu się pierwój przypatrywać. Ludka zaś odgrywała rolę mentorki, opowiadając, jak się które miejsce w teatrze nazywa, a udając po trochu dorosłą, robiła swoje uwagi nad wchodzącą publicznością. Ale kiedy podniesiono kurtynę, zaprzestały nasze dwie znajome prze-

glądu po sali, a całą uwagę zwróciły na scenę. Była to opera, Magdusia uczyła się grać i miała wysokie zdolności muzyczne, cała więc zaszuchana, chwytiała uchem tony, aby żaden z nich nie uleciał. Naraz otworzyły się drzwi sąsiedniej, nie zajętej jeszcze łoży, dał się słyszeć szelest sukien, weszły dwie ładne lecz pretensjonalnie ubrane panienki, a za niemi dwie jakieś starsze panie. Ludka obejrzała się i o mało nie krzyknęła z podziwu. Był to bowiem nie kto inny, tylko Alinka i Emilka, przekształcone jakby czarodziejską różeczką na dorosłe panny.

Gdy się skończył akt pierwszy, Ludka i Magdusia przyjaznym skinieniem głowy powitały dawne swoje koleżanki, ale one Ludce tylko oddały ukłon, pomijając zupełnie Magdusię, a Alina szepnęła do swój towarzyszek:

— Nie rozumiem, zkąd taka dziewczyna, jak ta Magdusia, śmie nam się kłaniać; przecież z wyjściem z pensyi kończą się wszystkie takie znajomości.

— Ach, bo też ta Ludka weszła z nią w jakąś przyjaźń i tem ją upoważnia do różnicowania się z nami—odrzecze Emilka.

To mówiąc, nachyliła się do sąsiedniej łoży i rzekła:

— Moja Luciu, czy ty ją zabierasz do siebie na wakacje?

— Kogo?—zapytała Ludka.

— A tę, no, tę wychowankę pensyonnarską.

— Tak, ojciec mój uprosił p. Nonon, iż pozwoliła Magdusi do nas jechać. Będzie uczyć przez wakacje moję młodszą siostrzyckę.

— Chyba że tak, bo inaczej żałowałabym cię, że będziesz miała takie niestosowne towarzystwo—zakończyła ze skrzywieniem Emilka.

(d. c. n.)

## MŁODA BOHATERKA.

Opowiadanie prawdziwe.

(Dalszy ciąg).

Gracya z dziecka wyrosła na piękne i roztropne dziewczę, które uważało sobie

za obowiązek pełnić to wszystko, co bywa zwykłym zajęciem kobiety, żyjącej wśród ludzi. Pilnowała więc porządku i gospodarstwa domowego, pamiętała o wygodach ojca i sędziwego jego towarzysza. Z dwóch izb, stanowiących pomieszkanie strażników, jedną zajmowali mężczyźni, tam były tylko niezbędne, najprostsze sprzęty. Pokoik Gracyi, tak samo skromny i pusty, miał jednak pewne ozdoby; na szarych ścianach porozwieszane były obrazki, przedstawiające nieznane jej prawie widoki życia na łądzie, obrazy pól, łąk i lasów, spokojnych mieszkań i ogródków wesołych. Gracya nazywała to żartobliwie swoją galeryą, nieraz godzinami wpatrywała się w krajobraz wioski w czasie żniwa, a tym sposobem myślą przynajmniej i wyobraźnią przenosiła się w świat weselszy; jedyna to była rozrywka biednej pustelnicy, która nie posiadała książek, gdyż czytać nawet nie umiała. Dziewczę miało jeszcze w alkierzyku swoim jeden skarb ukochany, pielęgnowany troskliwie. W glinianej doniczce rosła na jej okienku różyczka alpejska, jedyna roślina, mogąca się utrzymać i kwitnąć na takiej wysokości i w takim powietrzu.

Ponad piętnem zajmowanym przez stałych mieszkańców wieży była sala dość obszerna i wygodnie urządzona, rodzaj pokoju bawialnego, gdzie odpoczywali goście, zwiedzający latarnię morską. Przyjmowanie tych rzadkich gości, pomiędzy którymi znajdowały się często młode, ciekawe panie, było wielką przyjemnością dla Gracyi, a przybysze, spodziewający się zastać tu posępnych strażników, zdziwiałych wśród milczenia i samotności, z miłym bardzo zdziwieniem spotykali u stóp wschodów młodą dziewczynę uprzejmą i uśmiechniętą. Nieraz też która z tych podróźnych pań zapytywała Gracyą, jak może żyć w takim odosobnieniu od ludzi i dla czego nie przeniesie się na ląd, gdzie łatwo by jej było znaleźć stosowniejsze dla siebie pomieszczenie; ale dziewczę odpowiadało zawsze łagodnie, że nie może opuścić ojca, że obowiązkiem córki jest żyć tam, gdzie może być użyteczną rodzicom. Każdy odjeżdżał ze współczuciem w sercu dla tej szlachetnej dziewczyny i unosił z sobą przekonanie, że

tak jak kwiaty dzikie, wyrastające na skalistym gruncie, odznaczają się czasem wonią niepospolitą, tak też bywają i dusze piękne, które w najprostszym stanie posiadają wyższe uczucia i cnoty.

Gracya słyszała nieraz gorące pochwały swojego poświęcenia, ale i te jej nie popsuły, nie wystawiły na żadną pokusę, bo Gracya była kobietą silnego ducha. Jeżeli wrodzona chęć rozrywki zrodziła się w młodej piersi, jeżeli zatęskniła za towarzystwem istot żyjących, szukała około siebie środków zaspokojenia tej potrzeby serca i jak więźniowie w celach, tak ona w ciasnej swojej wieży hodowała różne zwierzątka. Wśród rozpadlin skalnych były kąciki zaciszne, wiatry naniosły tam trochę ziemi urodzajnej i zazieleniło się w tych szczelinach na wiosnę odrobiną mechów, wrzosów i innych roślinek podobnych, które zazwyczaj pokrywają głazy. Zjawiła się tam para królików, może wymknęły się z jakiego statku i wnet zaczęły grzebać w szczelinach skał swoje legowiska. Spostrzegła je Gracya i przyszła im w pomoc, karmiąc zwierzątka okruchami sucharów i warzyw, wkrótce też dochowała się całego stadka królików, które nie uciekały przed nią, ale przeciwnie garnęły się pieszczotliwie do niej. Umiała ona także przyswajając dzikie mewy, ptaki morskie, gnieźdzące się zwykle na skałach nadbrzeżnych. Posępne te ptaki uważane są na łądzie za zwiastunów burzy i nieszczęścia, ale dla żeglarza przeciwnie głos ich przeraźliwy jest przestroga i hasłem baczności. Nim człowiek założył na skałach morskich strażnice bezpieczeństwa, już mewy z woli Opatrzności budowały tam swoje gniazda i instynktem wiedzione, przestrzegały hałaśliwym swym wrzaskiem zabłąkanych rybaków o zbliżającej się burzy, wskazując im miejsca najeżone strasznymi rafami.

Gracya drżała nieraz ze strachu, gdy zrywały się z gniazd swoich stada mew i zawiodły chór swój żałosny, ale wiedziała, że przykre te głosy były krzykiem przestrogi, że ptactwo wodne jest także strażą nadbrzeżną, a gdy w pogodny dzień słoneczny mewy bujały spokojnie, obsiadając skały i nawet krawędzie latarni, dziewczę uśmiechało się



do tych sąsiadek i towarzyszek swojej samotności i dzieliło się z niemi okruciami pożywienia. Gracya miała więc, oprócz stada śnieżnych królików i dwór swój skrzydlaty, a patrząc na igraszki tych stworzeń bożych, pustelnica rozweselała się, klaskała w ręczki i czuła się mniej samotną.

Gracya miała rok ośmnasty, gdy stary Kaleb, towarzysz jej ojca, zachorował. Pilnowała go, jak córka najtkliwsza, pełniła za niego służbę na wieczy, a gdy zamknął oczy, zapłakała szczerze nad stratą biedaka, do którego się przywiązała podczas wspólnego pożycia. Tomasz Darling odwiózł ciało towarzysza na ląd i pochował je w ziemi poświęconej. Teraz ojciec z córką zostali tylko we dwoje. Wieża potrzebowała jednak dwóch strażników, ale Tomasz podał prośbę, aby posada ta powierzona być mogła jego córce. Znano ją dobrze w całej okolicy, prośba została uwzględniona, Gracya, mianowana urzędownie strażniczką, była już teraz, jakby przykuta do samotnej skały. A jednak niepodobna, ażeby nie zatęskniła nigdy do innego życia; wiedziała przecież, że na lądzie mogła znaleźć stosowniejsze i łatwiejsze zajęcia, mogła wyjść za mąż, tak, jak inne kobiety i mieć swój dom i rodzinę. Ale ile razy namawiano ją do tego, ona zawsze odpowiadała z niewzruszonym spokojem:—Nie mogę opuścić sędziwego ojca; póki on żyje, muszę tu być z nim razem, pielęgnować i wspomagać. Nie mogę iść za przykładem innych dziewcząt, bo Bóg mi dał odmiennie obowiązki do spełnienia. (d. n.)

## PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dokończenie).

— Ależ to niesłychane rzeczy—mówił gubernator—więc naprawdę przybywacie z puszczy?

— Tak, panie gubernatorze, ale bez pomocy tego zacnego człowieka nigdy byśmy nie potrafili wyjść cało z takiej podróży.

— Jakże się nazywa ten człowiek, który was wyrwał ze szponów murzyńskiego władcy i doprowadził aż tutaj?

— Iwon Laenek; jest to dawny marynarz, który zbiegł z San Paolo di Laonda, był skazany na śmierć.

— Laenek .. San Paolo di Laonda...—mówił gubernator, namysławiając się, jakgdyby sobie coś przypominał—a za cóż ten człowiek był skazany?

— Rzucił się na przełożonego.

— Już wiem, już wiem; pamiętam wszystko. To ja byłem kapitanem okrętu, na którym ten wypadek się wydarzył. Zbieg ukrył się w murzyńskiej wiosce. Ach, jaka szkoda, żeście go nie przyprowadzili. Byłbym go natychmiast aresztował.

— O, panie gubernatorze!..

— Bądźcie spokojni, postarałbym się o to, aby go prędko ulaskawili, nieby mu się ztego nie stało.

— Byliśmy tego pewni i zaklinałiny go na wszystko, ażeby się z nami nie rozstawał; ale się nie dał namówić, powiada, że nie mógłby żyć bez puszczy.

— Na to niema rady, jeżeli już tak rozmiłowany w swojej puszczy, niechże sobie do niej powraca. Ale wy, moi panowie, co myślicie z sobą zrobić? Powiedziałem wam przed chwilą, że miejsca wasze zajęte. Sądzę jednak, że wiadomość ta nie musiała was bardzo zmartwić; po tylu przygodach i trudach, wolicie zapewne powrócić do ojczyzny.

— Wyznaję—rzekł Barthet—że wcale nie byłbym od tego i jeśli nie mamy tu co robić...

— Bardzo szczęśliwie się złożyło dla was, że okręt, stojący tu w tej chwili na kotwicy, jutro właśnie odjechać ma do portu. Tam z łatwością dostaniecie się na statek odpływający do Francji. A teraz pójdźcie wypocząć, później opowiecie mi ze wszystkimi szczegółami nadzwyczajne wasze przygody.

Na drugi dzień rano Barthet i Guillois, pożegnawszy zacnego gubernatora, wsiedli na okręt i odpłynęli do portu. Tam z niewymowną radością dowiedzieli się, że statek

kupiecki niezwłocznie odpłynąć miał do Francji. Gubernator, wchodząc w ich położenie, zaopatrzył ich w potrzebne papiery i pieniądze na drogę, wyprawiając ich do kraju, jako dymisyonowanych urzędników.

W trzy tygodnie po wyjeździe z portu afrykańskiego, dwaj przyjaciele wylądowali w Nantes, a ztamtąd, nie tracąc chwili, odjechali koleją do Paryża.

### Zakończenie.

Barthet i Guillois wraz z wiernym swoim murzynem wysiedli o piątą godzinie zrana na dworcu kolei w Paryżu. Tu musieli się rozstać, gdyż Barthet pośpieszył do domu swoich rodziców, ciesząc się myślą, że smutek ich zamieni się w radość, gdy ujrzą nagle tego, którego już opłakali. Guillois miał tylko starego wuja, skąpca i samoluba, który nie chciał mu przyjść z pomocą po śmierci jego ojca, chociaż był bogaty. Zrazu więc miał zamiar stanąć w hotelu i nie zaglądać wcale do tych niegościnnych progów, ale się namyślił i poszedł zwolna do domu wuja. Przed rozstaniem dwaj przyjaciele umówili się, że o południu zajdą do pewnej cukierni, gdzie zwykle zbierali się oficerowie i marynarze. Spodziewali się spotkać tam dawnych znajomych i kolegów, a ciekawi byli niezmiernie dowiedzieć się czegoś o losach dwóch towarzyszy swą morską podróżą, którzy pozostali w szponach kapitana Osy.

O naznaczonej godzinie Barthet i Guillois spotkali się przed cukiernią i powitali z taką czułością, jakgdyby się od wielu dni nie widzieli.

— I cóż? — rzekł Guillois wzruszonym głosem.

— O, mój drogi—odpowiedział Barthet ze łzami w oczach—przybyłem w porę; sędziwy mój ojciec, biedna matka, o mało życiem nie przypłacili fałszywej wieści o mojej śmierci. Mówią, że wielka radość zabić może; ale mój widok przeciwnie przywrócił ich do życia; a siostrzyczka moja, ukochana Małgosia, myślałem, że oszaleje z radości. Ach! zapominałem o wszystkich trudach, o wszystkich cierpieniach! Gdym przestępował próg rodzicielskiego domu, takie wzruszenie

mnie opanowało, tyle wspomnień zbudziło się w moim sercu, że zrazu nie mogłem iść dalej, ale po chwili szła mię znów jakiś ogarnął i wpadłem do domu, wołając w niebogłosy:—Oto jestem! nie zginąłem! Oto mnie macie!—Drzwi się otworzyły nagle, ujrzałem matkę na progu i padłem u nóg jej zemdlony. Gdy przyszedłem do siebie, wszyscy mnie otaczali i plakaliśmy... plakaliśmy łzami radości! Ach, mój drogi Guillois, dotąd jestem jakby odurzony tém szczęściem... tak, naprawdę, jeszcze się opamiętać nie mogę i rozgadałem się o sobie, nie pytając nawet, jakiego przyjęcia doznałeś u swojego wuja?

— Przybyłem już za późno — rzekł Guillois poważnie.

— Jaktó! wuj twój...

— Nieżyje. Zostałem jego spadkobiercą, gdyż nie miał innych krewnych. Mam więc obecnie 25,000 franków rocznego dochodu.

— O, drogi przyjacielu, możesz więc teraz być spokojny o swoją przyszłość.

— Tak; i mógłbym dla własnej przyjemności odbywać podróże, przebiegać puszcze afrykańskie.

— Co, naprawdę o tém myślisz?

— Jest to najmilsze moje marzenie; a wiesz, czego przytém pragnę najgoręcej?

— Ażebym ja ci towarzyszył; nieprawdaż, że myśl twoją odgadłem?

Weszli razem do cukierni. Mało jeszcze było osób przy stolikach, nie spostrzegli żadnej znajomej twarzy, kilku starych dymisyonowanych oficerów popijało kawę, czytając gazety. Dwaj przyjaciele usiedli przy oddzielnym stoliku, Guillois wziął jakiś dziennik do ręki i rzuciwszy nań okiem, wydał lekki okrzyk zdziwienia.

— Co to jest?—zapytał Barthet.

— Czytaj—odpowiedział jego towarzysz, wskazując szpalte dziennika, na której Barthet wyczytał co następuje:

„Raport urzędowy pana Toucasa, podkomisarza, poświadczony przez pana Giliassa, felczera pierwszej klasy, przedstawiony jego Ekscelencyi ministrowi wojny.“

Dwaj młodzieńcy, odczytawszy to, parsknęli głośnym śmiechem.

— A co — rzekł Barthet — przecież nasz



Toucas wygotował w końcu ten sławny raport, którym nieustannie groził kapitanowi Osy. Dowiemy się więc wreszcie, jakim sposobem dwaj nasi towarzysze wydostali się z tego okrętu i co się stało z kapitanem Noelem.

I rozpoczęli czytanie długiego raportu, a co chwila je przerywali, śmiejąc się do rozpuku. Toucas i Giliasse opisywali najpierw stylem napuszonym początek swojej podróży na okręcie kapitana Noela, nie rozminając się z prawdą aż do chwili, gdy Osa, wywiesiwszy czarną chorągiew, wystąpiła do walki z fregatą angielską. Tu zaczęli już prawie niestworzone rzeczy o swoich czynach bohaterskich, nie wspominając wcale o dwóch młodzieńcach, którzy wraz z nimi znajdowali się na okręcie. Więc Toucas opowiadał, że gdy kapitan Noel bombardował fregatę, on z przyjacielem swoim Giliassem rzucił się na niego i miał zamiar podpalić proch na dnie okrętu i wysadzić w powietrze to gniazdo łotrów, poświęcając zarazem i życie własne; ale srogi kapitan pokonał obu bohaterów i kazał ich okuć w kajdany, a nawet groził im śmiercią.

Barthet i Guillois o mało się nie udusili ze śmiechu, czytając to wszystko.

— A co—mówił Barthet—nie darmo ten hultaj Toucas takie miał dobre wyobrażenie o swojej wymowie. Któżby się był spodziewał po jego niewinnej mince, że potrafi kłamać, jak najęty.

Ale raport nie kończył się na tém. Dalej Toucas opisywał przybycie Osy do brzegów afrykańskich i tu następowały bajeczne przygody obu bohaterów. Toucas wraz z nieodstępnym swoim Giliassem mieli się cudem jakimś uwolnić z więzów, opanować okręt Noela i walczyć przez dwadzieścia cztery godziny z całą osadą okrętową, która ich wreszcie większością siły zbrojnej pokonała. Ale w tém miejscu Barthet i Guillois przestali się śmiać, bo niegodziwy kłamca wspominał na koniec ich nazwiska, uskarżając się, że dwaj młodzieńcy, którzy byli jego podwładnymi w urzędowaniu, nie przyszli mu z pomocą w bohaterskich jego przedsięwzięciach, ale skorzystali z pierwszej sposobności, aby uciec na ląd, pozostawiając Toucasa z Gil-

liassem na pastwę mściwego kapitana. Za to też Pan Bóg ich skarał i zginęli niewłócznie, zamordowani przez murzynów na wybrzeżach Bengueli.

— Cóż to za nikczemność!—zawołał Guillois.

— Kiedy tak—dodał Barthet—nie możemy milczeć i całą prawdę teraz wykryć musimy. Ale to nie koniec, czytajmy dalej.

Na zakończenie raport obwieszczał, że przybywszy do Brazylii, Kastor Foucas z Poluksem Giliassem po wylądowaniu niewolników podstępnie spolił osadę okrętową i wysadzili Osę w powietrze, sami zaś cudem uratowali się i dopłynęli do brzegu. Po tylu czynach bohaterskich, dostali się obaj do Francji, by spocząć nareszcie na wawrzynach.

Barthet, po przeczytaniu tych niedoręczności, spojrzawszy przypadkiem na datę dziennika i spostrzegł ze zdziwieniem, że nie był wcale świeży, a przypatrując się uważniej, obaczył, że to była kartka odcięta i przyklejona do dziennika amerykańskiego, który miał datę daleko późniejszą. Otóż w dzienniku amerykańskim mieściła się piorunująca odpowiedź na urzędowy raport pana Toucasa i Barthet z prawdziwem zadowoleniem odczytał ją i przetłumaczył od deski do deski przyjacielowi, który nie rozumiał angielskiego języka. Odpowiedź ta brzmiała, jak następuje:

„Kłamstwem wierutnem jest wszystko, co p. Toucas opowiada o sobie i przyjacielu swoim w raporcie urzędowym. Obaj ci panowie nigdy żadnych walk nie staczali na moim okręcie, chyba u stołu z butelkami, które tak dzielnie zmiatali z placu, że wysuszyli mi w czasie swego pobytu na Osie cały zapas wina. Ponieważ odbywszy podróż szczęśliwie, nie miałem zamiaru prowadzić dalej handlu niewolnikami, sam wysadziłem w powietrze swój okręt, a ci panowie wiedzą o tém doskonale, gdyż otrzymali pewną tantiemę z mojego zarobku, za obowiązki, które w czasie podróży przyjęli na siebie i dość sumiennie spełniali. Niebym zresztą nie miał przeciwko temu, żeby się zabawili po powrocie do kraju jakimś niewinnem kłamstwem, a nawet sławili swoje męstwo i bohaterskie

